OGNISKO DOMOWE

Gazeta dla kobiet.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 3 CHOJNICE, dnia 28-go lutego 1926 r. Nr. 9.

POLNA RÓŻA.

—

(Dalszy ciąg).

— Proszę cię, kochana Elo, pewnie list z domu...

Przyjaciółka skinęła głową potakująco i podała list Róży.

Ta ze zwykłym sobie spokojem rozcięła kopertę, ale zaledwie zdołała przeczytać kilka pierwszych wierszy, rumieniec wybiegł nagle na jej twarz, następnie zbladła i mocno brwi ściągnęła.

— Co się stało, Różo? — zapytała Ela.

— Ojciec żąda, abym na święta nie przyjeżdżała do domu, gdyż tak daleka droga w zimie mogłaby mi zaszkodzić... Przytem zdrowie mamy wymaga zupełnego spokoju. A ja niemądra, tak się cieszyłam na samą myśl tych paru tygodni swobody w naszej ukochanej wiosce — mówiła ze łzami w oczach, rzucając urywane zdania, poczem zwinęła list w ręku i rzuciła go na ziemię.

— Ach, Różo, coby pan Miłoszewicz powiedział, gdyby to widział? — rzekła Ela, podnosząc list z podłogi.

— Choćby tu było dziesięciu panów Miłoszewiczów zrobiłabym to samo! — odrzekła z gniewu Róża i wsparłszy głowę na dłoniach, zatopiła palce w swych ślicznych kędziorkach.

— Ale ja tu nie zostanę na święta za nic na świecie!.. Ojciec bardzo się pomylił, licząc na to!..

— Wiesz co, Różyczko — rzekła Ela znowu miłym głosem — poproszę pani przełożonej, żeby mi pozwoliła przez czas świąt spać w twoim pokoiku, o ile naturalnie nie będziesz miała nic przeciwko temu... Będzie ci weselej, tembardziej, że Wanda jedzie do domu.

— Poczciwa z ciebie koleżanka! — odpowiedziała Róża, już cokolwiek udobruchana.

— Nie chce mnie ojciec widzieć, to trudno!.. I rysować już nie będę!.. nie!..

Mówiąc to, rzuciła ołówek z taką siłą, że się koniec ułamał i niewiele brakowało, żeby i sam rysunek pod stół zleciał. Ela przeszkodziła temu w samą porę i podniósłszy ołówek, zatemperowała go i podała spokojnie koleżance.

Róża wzięła go ze wstydem, ale rysować już nie mogła.

Słodkie wspomnienia poprzednich świąt, w domu rodzicielskim spędzonych, gwałtem cisnęły jej się do głowy. Rodzice, wioska rodzinna, ulubiony konik, oswojona i wychowana przez nią sarenka, stawali jak żywi przed oczami dziewczynki.

Tymczasem przełożona odebrała list od ojca Róży, w którym prosił, aby zatrzymała córeczkę u siebie przez święta. Za główny powód podawał obawę, aby nie przyjeżdżała na tak krótki czas do domu, kiedy do życia na pensyi jeszcze się nie przyzwyczaiła.

Wobec tego Róża musiała przepędzić święta na pensyi. Nie zgodziła się też na plany Eli przełożona pensyi naznaczyła jako następczynię Wandy, pewną poważniejszą osobę.

Towarzystwo jej nie mogło bardzo przypaść do gustu młodej i swawolnej dziewczynie, więc nic dziwnego, że Róża nie posiadała się z oburzenia i stawała się znowu opryskliwą.

Dokuczała nawet dobrej Eli.

Gdy pewnego razu Róża siedziała w swoim pokoiku, marząc o wsi życiu bez pracy, weszła nagle Ela i zarzuciwszy jej ręce na szyję, poprosiła, aby z nią zagrała na fortepianie na cztery ręce.

— Ach, ty jesteś niemożliwa z tem swojem ciągłem nudzeniem! — zawołała Róża, odtrząsając od siebie przyjaciółkę — wiesz, że nie mam zdolności do muzyki... Idź sobie i zostaw mnie w pokoju!

— Za dużo już sobie pozwalasz, Różo — odparła Ela obrażona.

Dopiero pod wieczór tego dnia udało się Eli zbliżyć do koleżanki. Trzymając w ręku tabliczkę czekolady, ulubiony przysmak Róży, rzekła do niej:

— Weź to, Różyczko, ode mnie na znak, że nie gniewasz się więcej.

Po chwili Róża, spojrzawszy na twarz Eli i widząc na niej głęboki smutek i pokorną prośbę, wzruszyła się bardzo i chwyciwszy tabliczkę, przełamała ją na dwie równe części, ze słowami:

— Weź połowę i niech ta tabliczka będzie łącznikiem naszej przerwanej przyjaźni.

Następnie w najlepszym już humorze zajadała ulubioną czekoladę. Przez cały wieczór Róża była w doskonałem usposobieniu. Właśnie skończyła „głowę Araba" i rysunek zdobył sobie uznanie u wszystkich. Ponieważ trzeba go było jeszcze dziś wysłać, Róża pociągnęła Elę do swego pokoiku i wzięły się do pakowania tego arcydzieła. Lecz wkrótce kupiona ramka okazała się za małą, trzeba było ją wymienić. Na prośbę panienek, przełożona zgodziła się puścić je same tylko pod warunkiem, że wkrótce wrócą i do żadnych innych sklepów nie będą wstępowały.

Ale Róża, załatwiwszy sprawunek, ku wielkiemu zgorszeniu Eli nie myślała o powrocie. Ucieszona, iż udało jej się wyrwać trochę na swobodę, chciała użyć jej do syta. Wkrótce też swoim śmiechem i paplaniem tak oszołomiła Elę, że ta zupełnie zapomniała o upomnieniach przełożonej.

Wędrowały sobie z ulicy na ulicę, oglądając zapasy przedświąteczne; bawił ich tłok, przez który musiały się przeciskać, a Róża dowcipkowała i śmiała się bezustannie. Nakoniec wciągnęła Elę do cukierni.

Lecz tutaj Ela oprzytomniała i zimno jej się zrobiło na samą myśl, co przełożona powie na to. Ale Róża śmiała się z niej, nazywając ją dzieckiem. Zaledwie nasze panienki zdołały sobie wyszukać jakiś kącik na uboczu i pogrążywszy noski w filiżanki, za-

częły zapijać z największym apetytem czekoladę, gdy naraz tuż koło nich dało się słyszeć:

— Życzę dobrego apetytu!

Na ten dobrze znany głos obydwie dziewczynki podniosły głowy i oblały się gorącym rumieńcem.

— Och, pan profesor!.. — wyszeptała Róża.

Pan Miłoszewicz, gdyż on to był w samej rzeczy, więcej zdawał się być rozbawionym tą sceną, niż zagniewanym. jednakże podniósłszy palec do góry, rzekł, udając oburzenie:

— Że też to zawsze wbrew woli przełożonej postępujecie!

— O, Boże? — krzyknęła Ela — ale pan profesor chyba nas nie...

— Wyda!—dokończył profesor. —Jak pani o tem sądzi? — rzekł, zwracając się do Róży.

— Jestem pewną, że pan nas nie zdradzi!

— Słyszy pani, panno Elo, czyż mogę zawieść takie zaufanie? — rzekł pan Miłoszewicz ze śmiechem, lecz zaraz potem dodał poważnie:

— Ale proszę, niech panie natychmiast po spożyciu tej smacznej czekolady do domu spieszą, bo w przeciwnym razie za nic nie ręczę!

I pożegnawszy się, wyszedł.

Tymczasem Róża i Ela straciły zupełnie apetyt, uregulowawszy więc rachunek, wyszły.

Przełożona była ogromnie zaniepokojona ich długą nieobecnością, więc gdy wróciły, nie szczędziła im wymówek.

Nazajutrz kończyły się lekcje i zarazem był to dzień odjazdu pensjonarek.

Róża z trudnością powstrzymywała łzy na widok uszczęśliwionych twarzy odjeżdżających koleżanek. Ela nie odstępowała jej prawie tego dnia, starając się rozerwać myśli rozżalonej przyjaciółki. Jednak trudne to było zadanie, bo Róża na wszelkie perswazje Eli odpowiedziała:

— Nie znasz naszego Podłęża, jego cudnych borów, które w zimie błyszczą w słońcu miliardami najcudniejszych brylantów. Stoją one w uroczystej ciszy, tylko czasami wiewiórka gałęźmi ich poruszy lub sarna wśród gąszczów przebiegnie; nie znasz naszych ślicznych łąk, po których mnie mój ulubiony Arabczyk jak na skrzydłach nosił, nie znasz...

— Jak ty to ładnie opisujesz, wiesz, mogłabyś poetką zostać — przerwała Ela.

— Dobry z ciebie dzieciak — odpowiedziała Róża z uśmiechem — ale poczekaj, na Wielkanoc już mnie tutaj nie zatrzymają... Wówczas zabiorę cię z sobą do Podłęża. Niech tylko kwiecień będzie w dobrym humorze, a zobaczysz, jak się świetnie zabawimy. Moi panowie bracia też przybędą na święta do domu, nie zmarnujemy napewno ani jednego dnia. Nauczę cię konno jeździć, pływać wiosłować. Ach, żeby ten kwiecień jaknajprędzej nadszedł!..

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy do pokoju weszła pokojówka, niosąc list i ogromną paczkę dla Róży.

Były to podarki z domu. Przy rozpakowaniu tychże, Ela więcej okazywała radości niż Róża.

— Ach, jakie śliczne suknie!... A ten fartuszek jakiż piękny!... A spojrzyj tylko na to pudełko do listów... Ależ to podarki, jak dla jakiej królewny! Albo ta mufeczka i futerko, tylko je całować!.. A tu taj co znowu wygląda?... Pantofelki.. prawdziwie jak dla kopciuszka, takie malutkie i zgrabniutkie... Musiałabym sobie pięty obciąć, ażeby je włożyć. Ach, jakież one muszą być wygodne i ciepłe, jedwabiem wyszywane!

Tak szczebiotała Ela w szczerym zachwycie.

Tymczasem Różę jedna tylko rzecz ucieszyła, mianowicie duże pudełko z farbami i mnóstwo ślicznych wzorów do przerysowywania.

Ojciec był zdumiony i zarazem ucieszony zdolnościami córki do rysunków. Nie szczędził więc podarków na „Gwiazdkę.“

Przełożona ze swej strony pomyślała o choince, której przybraniem zajęły się dziewczynki.

Nie żałowano ani pieniędzy, ani starań, ażeby tylko choinka ładnie wyglądała.

Oprócz przełożonej, Róży i Eli, na pensji pozostały jeszcze dwie nauczycielki, z których jedna, panna Bronisława, bardzo miła i dobra, była właśnie towarzyszką, a zarazem opiekunką Róży.

Ela była w siódmem niebie; śpiewając sobie, tańczyła w koło choinki, to znów z wdzięcznością całowała i ściskała ciotkę; lecz w tej wielkiej radości nie spostrzegła, że jej przyjaciółka nie dzieli z nią wesołej uciechy, dopiero kiedy Róża już o dziewiątej poprosiła przełożonej, czy może wrócić do siebie na górę — dopiero wtenczas Ela spostrzegła przygnębienie koleżanki. Zarzuciła jej ręce na szyję i zawołała ze zdumieniem:

— Ależ, Różyczko, cały świat się teraz raduje i wszyscy się bawią, a ty chcesz już iść spać? Nie, z tego nic nie będzie!

Z temi słowy chwyciła Różę w pół i dalej z nią tańczyć wokoło po pokoju.

Pomimo tego nie zdołała rozruszać przyjaciółki i Róża, tłómacząc się zmęczeniem, opuściła salon.

Przełożona posłała za nią pełne niepokoju wejrzenie.

— Może ona chora? — rzekła do siebie, a następnie zwróciwszy się do panny Bronisławy, dodała:

— Proszę, niech pani dzisiaj szczególniej zwraca uwagę na Różę, bo ona jakoś bardzo przygnębiona.

O, gdyby wiedziała jak to biedna chora szybko przebiegła schody, aby się jaknajprędzej znaleźć w łóżku ze swemi skołatanemi myślami.. Tak się dziś czuła nieszczęśliwą i opuszczoną z dala od domu i rodziców... Zapaliła stoczek, który dostała z domu, i postawiła go na krześle przy łóżku: następnie wyjąwszy swe nowe pantofelki, umieściła je pod krzesełkiem i wzięła się do rozczesywania włosów. Przy tem zajęciu, które zawsze przed spoczynkiem czyniła, perliste łzy zabłysły jej w oczach. Długo łkała cicho, aż w końcu, zdenerwowana i wyczerpana płaczem, skleiła powieki, a sen uniósł ją na swych skrzydłach daleko, daleko, do rodziców. I chciałaby tam pozostać wiecznie i nie pozbawić oczów drogiego widoku

Naraz do pokoju Róży weszła panna Bronisława. Lecz jakże się przestraszyła, gdy ujrzała pokój pełen dymu, a na łóżku Różę nawpół ubraną, leżącą jak bez życia.

(Dokończenie nastąpi).

Bohaterski ratunek na oceanie.

Najstarsi marynarze nie pamiętają takiej burzy, jak ta, która szalała w drugiej połowie stycznia r. b. nad północnym Atlantykiem i w ciągu 5 dni hamowała żeglugę nawet największych parowców transatlantyckich.

Ogromne fale, sięgające 70 stóp wysokości, zalewały najwyższe pomosty okrętów i stawiały taki opór, że tak szybki parowiec, jak „Aquitania“ płynący do Nowego Jorku, posuwał się czasami przez całe godziny z szybkością zaledwie pięciu węzłów i przybył do Nowego Jorku z trzydniowem opóźnieniem.

Niedziw, że pamiętna ta burza stała się prawdziwą klęską dla mniejszych okrętów. Kilka z nich utonęło lub osiadło na skałach, inne musiały zawrócić do portów, z których wypłynęły.

Straszne jednak chwile takie stają się czasem, jakby błyskawicą, w której jaskrawym blasku ujawnia się nagle bohaterstwo i miłosierdzie duszy ludzkiej.

Dnia 23 stycznia angielski parowiec towarowy „Antinoe", naładowany zbożem, zaskoczony przez wspomnianą burzę na środku Atlantyku, uległ zalaniu przez ogromną falę, która uszkodziła pomost kapitański, zepsuła ster i wywołała przesunięcie się ładunku tak, że parowiec przechylił się na bok. W ciągu dnia przechylenie wzmagało się ustawicznie, a woda zaczęła przeciekać przez luki wewnątrz parowca, wobec czego w nocy na niedzielę, dowodzący parowcem kapitan Tose kazał radiotelegrafiście puścić w przestwór depeszę: „S O. S." wzywającą ratunku. Depeszę tę pochwycił pierwszy płynący do Nowego Jorku parowiec „Aquitania" i wkrótce potem nadeszła z niego do „Antinoe" depesza, że parowiec transatlantycki „President Roosevelt" należący do amerykańskiej rządowej linji okrętowej „United States Lines" znajdujący się w drodze do Europy, spieszy z pomocą tonącemu okrętowi. Linja ta posiada biuro swe również i w Polsce, przy ul. Senatorskiej 28/30 w Warszawie.

Istotnie, w niedzielę, w samo południe, załoga „Antinoe" dojrzała parowiec zapowiedziany, ale nagle wicher napędził gwałtowną śnieżycę, podczas której zbawczy parowiec zniknął z przed oczu zrozpaczonych marynarzy. Tymczasem fale zalały aparat radjotelegraficzny „Antinoe". Na rakiety i niebieskie światła, puszczane przez rozbitków, nikt nie odpowiadał w ciemnościach nocnych. Wreszcie po okropnej nocy, spędzonej na wypompowaniu wody z parowca, oczom załogi ukazał się znów nad ranem „President Roosevelt", wobec czego kapitan Tose, posługując się lampą ręczną, zawiadomił go alfabetem Mors'ea że musi opuścić tonący okręt. W odpowiedzi parowiec amerykański wylał olej na rozszalałe morze, co uspokoiło nieco fale, poczem opuścił z pokładu łódź ratunkową. Niestety, łódź ta, przewróciła się uderzona przez fale i cała jej załoga wpadła do morza. Części jej zdołała się uratować, uchwyciwszy się wystającego kantu łodzi, a nawet zdołała łódź podnieść i wsiąść do niej, dwaj jednak marynarze, którzy pierwsi zgłosili się na ochotnika do akcji ratunkowej: Keitman, z pochodzenia niemiec i Wirtsmen, z pochodzenia francuz, utonęli.

Po tej pierwszej próbie, trzykrotnie jeszcze opuszczano na morze łodzie ratunkowe, za każdym jednak razem łodzie te uległy rozbiciu przez fale. Próby dosięgnięcia tonącego parowca linami wystrzelonemi z działka ratunkowego, także zawiodły.

Cały poniedziałek zeszedł na tej bezowocnej akcji ratunkowej. Porozumiewano się za dnia sygnałami ręcznemi w nocy zaś za pomocą latarni. We wtorek zrana sytuacja „Anitnoe" stawała się coraz krytyczniejsza, bo nietylko, że parowiec przechylił się jeszcze bardziej, ale i stanowiący ładunek jego, zboże nasiąkło do tego stopnia wodą morską że zaczynało rozsadzać ściany parowca, śmiertelnie zaś znużona, zgłodzona i przemarznięta załoga, broniła już resztkami sił siebie i okręt od zagłady. Niestety, morze było tak wzburzone, że „President Roosevelt" nie mógł wysłać łodzi ratunkowej. Dokonano tego dopiero we środę, o świcie, ale i tym razem bezskutecznie. Po południu powtórzono manewr, fale jednak porwały i zniosły łódź, na szczęście jeszcze bez załogi.

Rozpaczliwe to były chwile! Dopiero o godz. 5 ej po połud. rozbitkom błysnęła iskierka nadziei. Wiatr ustał i niebo zaczynało się wypogadzać. Pomimo więc wzburzonego jeszcze morza kapitan „President Rosevelt", Fried, dał znać o godz. 7 j rozbitkom, aby się przygotowali, wysyła bowiem do nich nową łódź ratunkową. Ta wreszcie łódź dotarła do celu. Jede nastu marynarzy i drugi porucznik „Antinoe", wszyscy żonaci, bo żonatym dano pierszeństwo, skoczyli do niej, trzynastu zaś z kapitanem Tose, pozostały jeszcze na pokładzie.

Gdy ocaleni znaleźli się na parowcu amerykańskim, kapitan Fried dał znać, że wyśle znów łódź ratunkową, gdy fale nieco opadną, kapitan Tose jednak odparł, że niepodobna już utrzymać się na pokładzie. „Antinoe" zatonie lada chwila. Na szczęście księżyc oświetlił fale morskie. Przy jego więc świetle jeszcze jedna łódź podążyła ku tonącemu parowcowi, dostała do niego, pozostali członkowie załogi zdołali do niej wskoczyć i o godz. 1 min. 35 w nocy znaleźli się na dobroczynnym parowcu tak znużeni, że kapitan Tose zemdlał, gdy wniesiowo go na pokład.

Bohaterska ta akcja ratunkowa trwała 84 godziny, a przez cały ten czas kapitan Fried nie opuszczał swego stanowiska na pomoście kapitańskim.

Można sobie wyobrazić entuzjazm, z jakim powitano bohaterską załogę, gdy „President Roosevelt" zawinął do portu Plymouth, w Anglji, tudzież wdzięczność załogi ocalonej.

Rząd angielski odznaczył członków akcji ratowniczej złotemi medalami zasługi, a król Jerzy wysłał w imieniu narodu angielskiego depesze dziękczynną do prezydenta Coolidge'a.

Jak umiejętnie i rozsądnie oszczędzać.

W dzisiejszych trudnych warunkach sprawa oszczędności jest bardzo ważna, więc będzie dobrze jeśli się zastanowimy w jaki sposób zabrać się do oszczędności i jak ją stale w życiu naszem przeprowadzać aby mieć z niej prawdziwe korzyści. Najważniejszą rzeczą jest przyzwyczajać do oszczędności dzieci od najrychlejszej młodości, aby później gdy dorosną nie sprawiało im trudności odmawiać sobie przyjemności niepotrzebnych. Oszczędność jednak jak każde poczynanie muszą być celowe i mądrze zastanówmy się nad tem na czem polega oszczędność.

Oszczędność jak powiedzieliśmy ma być mądra— więc należy oszczędzać we wszystkich wydatkach, ale tak, aby nie ucierpiały potrzeby życia codziennego. — Oszczędzając trzeba więc wybrać z pomiędzy rzeczy pożądanych tylko potrzebne, a z potrzebnych — najkonieczniejsze.

Każdą rzecz powinno się kupować o ile na to starczy w najlepszym gatunku, bo tylko w ten sposób oszczędza się pieniądze i czas, który się zużywa na częste kupowanie rzeczy nietrwałych.

Każdą z kupionych rzeczy trzeba mieć w należytym porządku, aby się prędko nie niszczyła, ale trwała jak najdłużej.

Rzeczy zużytych i uszkodzonych nie trzeba bez namysłu wyrzucać, lecz możliwie reparować, lub przerabiać do innego użytku.

Trzeba więc:

1 Oszczędzać przy kupowaniu,
2, Przestrzegać porządku,
3. Naprawiać rzeczy uszkodzone,
4. Wyrabiać w sobie zręczność i spryt do przystosowania rzeczy zużytych.

Ogromne też zastosowanie ma oszczędność przy gotowaniu. — Tu znowu pamiętać przecież trzeba aby

oszczędność nie była posunięta do skąpstwa, gdyż byłaby wtedy szkodliwą i mogłaby ujemnie działać na zdrowie.

Bardzo racjonalnym środkiem jest robienie zapasów w odpowiednim czasie, kiedy towar jest najtańszy i konserwowanie nabytego zapasu na dłuższy czas.

Wogóle oszczędzać trzeba zawsze i korzystać z każdej chwili aby nie tracić czasu ani pieniędzy. Oszczędzony mnoży kapitał, a więc wzbogaca nietylko jednego człowieka ale nawet całe państwo. Ponieważ jednak oszczędność rozumna nie jest łatwą będziemy co pewien czas dawali wskazówki i rady z własnego doświadczenia nabyte.

Rozmaitości.

Autorka 15.000 listów miłosnych. W pałacu Drouot sprzedano na publicznej licytacji za osiemnaście tysięcy franków olbrzymią spuściznę korespondencyjną po Wiktorze Hugo, która zawiera piętnaście tysięcy listów pisanych przez Juliette Druet. Szczęśliwy nabywca może umieścić te listy w swoich zbiorach ale publikować nie wolno mu tych poufnych wyznań najwierniejszej z kochanek. Bardziej uporczywa, szalona miłość Julietty trwała okrągłe pół wieku, bo od roku 1833 do 1883-go. Przez całych tych 50 lat dzień w dzień otrzymywał genjalny poeta po jednym skromnym liściku od swej wielbicielki, wysilającej się na retoryczne esy floresy swej maniackiej ekstazy. Ci, którzy mieli sposobność przerzucać ten pożółkły pamiętnik jednostronnej miłości twierdzą, iż niema tam ani jednego śladu żywo bijącego tętna, ani kropelki krwi prawdziwej namiętności.

Więzienie za pocałunek. Przed jednym z sądów londyńskich toczyła się niedawno oryginalna rozprawa.

Niejaki Eli Harrison upodobał sobie młodą pokojówkę swych znajomych i choć człowiek żonaty i dzietny, domagał się od niej — buziaka. Nadobna pokojówka ani słyszeć o tem chciała. Wówczas Harrison przeszedł do zdecydowanej ofenzywy: złapał dziewczynę wpół i wycisnął na koralowych wargach całusa. Ta wniosła skargę do sądu, który skazał amatora całusów na miesiąc robót przymusowych.

Ciekawe byłoby dowiedzieć się, na jaką karę skazała go żona.

Tajemnica Andree'go odkryta? Dnia 11 lipca 1897 r. wzleciał w balonie razem z towarzyszem znany badacz okolic podbiegunowych Andree, celem osiągnięcia bieguna północnego. Od chwili tej wszelki ślad po nim zaginął i dopiero obecnie zupełnie niespodziewanie zaczyna się zagadka wyjaśniać.

Duński badacz podbiegunowy Rasmussen opisuje obecnie historję, jaką słyszał u Eskimosów z wysp chesterfeldzkich. Otóż z wiosną r. 1900 wybrał się ks. Turquetil, kierownik tamtejszej misji katolickiej w podróż nad jezioro Dugoint, na wschód od rzeki Mackencie w Kanadzie. Mieli tam żyć Eskimosi, którzy nigdy przedtem nie zetnęli się jeszcze z ludźmi białymi. Pewnego dnia natknął się Turquetil na małą osadę eskimoską, w której zatrzymał się kilka dni.

Pewnego wieczora przyszli do niego wszyscy mężczyźni plemienia i zapytali go, czy biali ludzie umieją w swym kraju wyrabiać wielkie białe namioty, które latają w powietrzu, jak ptaki. Turquetil potwierdził zapytanie, a wówczas Eskimosi popatrzyli na siebie z zasmuconemi minami i rozpoczęli szeptać między sobą. Podróżnik spytał na to, czy widzieli taki latający namiot, nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo Eskimosi szeptali w dalszym ciągu między sobą tak, jakby chcieli ukryć jakąś tajemnicę.

Zdradziła ich jednak ich własna ciekawość i z zapytań udało się księdzu wpaść na trop tajemniczej sprawy. Po nitce do kłębka doszedł Turquetil do przekonania, że chodzi o balon. W kilka lat później odwiedził badacz po raz drugi szczep Eskimosów i wtenczas udało mu się zdobyć więcej zaufania wśród nich. Opowiedzieli mu też, że kiedyś przed laty przybyli do nich dwaj biali ludzie w latającym namiocie. Mieli z sobą psa. Przez jakiś czas żyli z nimi Eskimosi w zgodzie, lecz później obce jedno plemię zamordowało ich, gdyż zabijali na terenach ich reny. Obce plemię uważało białych ludzi za czarowników, zabijających na odległość piorunem.

Także Rasmussen badał sprawę i przekonał się, że Eskimosi tamtejsi mieli płótno, pochodzące z balonu i obijali niem swoje sanki.

Miljoner wieczny tułacz. Mr. Scrippis, wydawca 28 dzienników w różnych miastach amerykańskich, właściciel wielu drukarni, papierni i t. d. od dziesięciu lat nie opuścił swego jachtu, podróżując bez przerwy po morzach i oceanach.

W 60-ym roku życia syt bogactw i wpływów postanowił usunąć się w zacisze, ale nigdzie nie znalazł spokoju.

Kazał więc zbudować wspaniały jacht, urządził go zbytkownie, zabrał na pokład cenną bibljotekę i wypłynął na Ocean.

Upływają tygodnie, miesiące i lata. Okręt przebywa ogromne przestrzenie, zatrzymując się nader rzadko, by odebrać i wysyłać listy.

Jedyną namiętnością dziwaka jest lektura filozofów greckich, ponieważ zaś słabe ma oczy i sam już czytać nie może przeto czytają mu dzieła starożytne na zmianę jego trzej sekretarze.

Wesoły kącik.

Dobra żona.

— Moja żona jest ogromnie ciekawa.

— Moja nie, jeszcze nigdy się nie zapytała, skąd ja biorę pieniądze na jej stroje.

Najlepszy patron.

— Jakie imię dajecie dziecku?

— Cyrjak, kochany kumie.

— A skądże wam do głowy przyszło takie rzadkie imię?

— Ja umyślnie w kalendarzu takiego szukałem. Taki patron najlepszy, bo ma mało ludzi pod swoją opieką, to lepiej mały dopilnuje.

U doktora.

Doktór: — Dlaczego się pani zamyśliła nad moją receptą?

Pacjentka: — Bo miałam przyjaciółkę, która zażywała to lekarstwo i umarła.

Doktór: — A ja miałem przyjaciela, który nie zażywał tego lekarstwa i także umarł.

Złośliwy.

(Gość w restauracji, którą nowy gospodarz dopiero od czterech tygodni przejął od swego poprzednika):

— Panie gospodarzu, czy tego zająca także przejąłeś od swego poprzednika?...

Redaktor naczelny: Leon Formański.
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Tobolski.
Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego“ w Chojnicach.